Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 17 Grudnia Nr. 50

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Moja astronomia.

Kiedy przygięty żywota trudami
Siedząc wieczorem w myślach zatopiony,
Patrzę na niebo zasiane gwiazdami
I na krążące tam światów miliony,
Które — choć pędzą z szybkością motylą —
Nigdy ni czasu ni drogi nie zmylą;
To się zdumiony zapytuję w duchu:
„Gdzież ten ten mistrz wielki, co je pchnął do ruchu?“

I dalej puszczam moją myśl na zwiady:
Skąd się w przestworzu dziwa te nabrały?
Czy wraz te światów powstały mirjady,
Czy się wiekami zwolna wytwarzały?
Kto pierwszy z światów powołał do bytu,
Kto go u niebios zawiesił zenitu,
I taki krąg mu w lazurach zatoczył,
By nigdy z niego i na włos nie zboczył?

Są mędrcy, którzy twierdzą w dobrej wierze,
Że się te światy wytworzyły same
Z jakichś atomów, zawartych w eterze,
I ruchom swoim zakreśliły tamę;
Lecz gdzie i kiedy powstały atomy,
O tem nie wiedzą już nic astronomy,
I nigdy ziemscy nie pojmą uczeni,
Nieskończoności czasu i przestrzeni...

Toż rozum ludzki ledwie pojąć zdoła,
Co zmysłom jego poddaje czas rączy,
Co go na ziemi otacza dokoła,
Co gdzieś i kiedyś wszczyna się i kończy;
Więc jakżeż mógłby zbadać tajemnicę,
Co tej mądrości przekracza granicę,
Jak to zrozumieć, co istnieje wszędzie,
Co zawsze było, jest i zawsze będzie?

A gdy tak siłę już rozumu zmierzę,
To całą nicość uczuwam człowieka,
Wodząc oczyma po gwieździstej sferze,
I mnie już więcej myśl ma nie docieka;
Lecz mówię sobie:, Musi być ktoś w niebie,
Który w tych światach sam odtworzył siebie“,
I już się wtedy całą duszą korzę,
Przed twą wielkością, wszechmogący Boże.

I wy też, wielcy ziemi tej mocarze,
Co berły swemi narody gniececie
I dumie swojej stawicie ołtarze,
Jeżeli wielkość swoją poznać chcecie,
Popatrzcie codzień na tych światów krocie,
Które moc Boża trzyma wciąż w obrocie,
A każdy taki widok wam ogłosi,
Żeście pyłkami, które wiatr roznosi!

W grudniu 1894.

Fr. Waligórski.

Prawo lynchu

Formalności i powolność sprawiedliwości normalnej odnośnie do anarchii we Francji, wywołują wspomnienia prawa lynchu, tego postrachu Fav-West amerykańskiego.

Wbrew rozpowszechnionemu w Europie wniemaniu, prawo nie ogranicza się do prostego zastosowania formuły: „Schwycić i powiesić.“

John Lynch, którego nazwisko prawo to nosi, był swego czasu sędzią we Florydzie. Jako prawowierny protestant XVII wieku, przesiąknięty zasadami biblijnemi, otrzymawszy od swych współobywateli władzę niemal dyktatorską celem zabezpieczenia kolonii przeciwko nadużyciom włóczących się negrów i zbiegłych kryminalstów, uciekł się w niezwykłem położeniu do niezwykłych środków.

Upraszczając wszakże bieg sprawiedliwości, nie posunął się tak daleko, by ją znieść całkowicie. Nawet w razie schwytania na gorącym uczynku i nieulegającej wątpliwości winy, oskarżeni byli zawsze zabezpieczeni przed wybrykami tłumów.

Z działalnością lynchu możemy zabrać znajomość w następującem opowiadaniu:

Rzecz dzieje się w 1866 r. W owych czasach okolica, leżąca między Wielkiemi Jeziorami u Missisipi, była jeszcze uroczystą i dość ponurą prerją, wysławianą przez poetów Biyanta, Fenimora, Coopera i Waszyngtona Irwinga, lecz czerwonoskóry i bizony już ustąpili przed stadami bydła i uprawnemi polami „bladych twarzy.“

Zwiedzałem pewne rozległe gospodarstwo hodowlane, zaproszony przez właściciela, byłego oficera w wojnie o niepodległość, z którym zabrałem znajomość w podróży z Nowego Orleanu do Saint Louis.

Był to człowiek wyrastający po nad banalne otoczenie, w jakiem żył. Lata spędzone na wojnie w szeregach wojsk północnych, wyrze-

żbiły na jego rysach, wybitnych z natury, te cechy stanowczości, jakie daje rzemiosło wojenne, uprawiane z powołania. Fizjognomji tej dodawała jeszcze charakterystyki rana od kuli, znacząca czoło.

Gdy z początku zapytałem go, zkąd ta rana pochodzi, po pewnem wahaniu rzekł:

— Nie otrzymałem jej na wojnie.

Ta niechęć odświeżania wspomnień wzmocniła tylko moją ciekawość i przyrzekłem sobie zaspokoić ją przy pierwszej okazji, która niebawem się zdarzyła.

Po całodziennej jeździe przez równiny pod palącemi promieniami słońca, zagłębiliśmy się w zarośla. Droga wiła się po wierzchołkach wzgórz. Tam czekał nas ponury widok. Na końcu gałęzi wisiał człowiek, jak szyld umieszczony na rogu ulicy. Wydłużony cień od ciała, rzucany przez zachodzące słońce, przestraszył nasze konie, które cofnęły się parskając,

— Założyłbym się, rzekł mój towarzysz — iż papa Lynch bawił tutaj.

Dojechawszy z wysiłkiem do stóp drzewa stojącego na rozstajnych drogach, zatrzymaliśmy się by spojrzeć na wisielca. Ślady rozkładu zwłok świadczyły, iż śmierć nastąpiła kilkanaście dni temu. Był to wielki drab potężnej budowy, z olbrzymiemi wąsami.

Po paru sekundach kontemplacji mój towarzysz zawołał:

— Ach, to ty łajdaku!

— Znałeś pan więc tego człowieka?

— Naturalnie — odparł. — Opowiem panu tę historję, ale teraz spieszmy się, żeby stanąć na miejscu przed nocą.

Wieczorem, po obiedzie, pomimo znużenia nie mogłem udać się na spoczynek, nie znając historji, przyrzeczonej mi przez gospodarza. On sam uprzedził mą ciekawość i opowiedział, co następuje:

W roku ubiegłym, pewnego ranka, odwiedziło mnie dwudziestu fermerów, zamieszkujących w sąsiedztwie. W ciągu jednej nocy skradziono im wszystkim konie. Podejrzenie padało na trzy indywidua z obcego kraju, kilkakrotnie oskarżane o morderstwa, a między innemi o zamordowanie oberżysty, który ich schwycił na oszustwie w grze.

— Trzeba z nimi raz skończyć mówili fermerzy. — Zabijemy ich jak dzikie zwierzęta Jeżeli zdołamy schwytać tych panów, prawo lynchu niech ureguluje z nimi rachunek. Czy jesteś pan naszego zdania?

— Najzupełniej, odparłem — lecz po czem poznać złoczyńców?

— Wszyscy trzej są ludźmi z pewnem wykształceniem, chociaż śmiało zaliczyć ich można do wyrzutków społeczeństwa. Ten, który zabił oberżystę, ma amputowany palec. Konie również łatwo będzie rozpoznać.

W kilka minut później, uzbrojony w rewolwer, siedziałem na siodle i w towarzystwie pięciu jeźdców galopowałem w stronę północy. Trzy inne grupy zdążały do tego samego celu innemi drogami. Miałem konia niezmęczonego; wkrótce wyścignąłem mych towarzyszy i sam jeden znalazłem się na drodze znaczonej śladami kół. Po dość długiej jeździe, przerywanej krótkiemi wypoczynkami, spostrzegłem przed sobą trzech jeźdców, prowadzących wolno konie. Zbliżyłem się tak bym mógł rozpoznać konie. Nie było wątpliwości, iż przedemną jechali złodzieje.

Była chwila, iż odwrócili się, lecz widząc mnie samego, jechali spokojnie dalej. Wówczas zsiadłem z konia, by mu dać odpoczynek, i oczekiwałem przybycia towarzyszów. Gdy ich sylwetki zasysowały się na choryzoncie, przyszła mi myśl, iż należy nie spuszczać, z oka złoczyńców, choćbym się miał narazić na nierówną walkę. Zbliżyłem się do nich przyjęli mnie bez nieufności. Poczęstowałem ich cygarami i wszczęła się rozmowo. Wszyscy trzej byli takimi, jak mi opisywano, dość inteligentnymi i posiadającymi pewien zasób rozmaitych wiadomości. Jegomość, jadący przodem, chcąc popisać się swym talentem muzycznym, począł gwizdać arje z rozmaitych oper. Nagle bez widocznej przyczyny puścił konia, którego trzymał za uzdę i pełnym galopem począł zmykać do lasu. W tej samej chwili nadbiegli moi towarzysze z rewolwerami w rękach.

— Zaopiekujcie się tymi dwoma! zawołałem, ścisnąłem konia ostrogą i puściłem się za zbiegiem. Uciekający odwrócił się szybko, strzelił z rewolweru i znalazłem się na ziemi bez przytomności. Gdym powrócił do zmysłów kąpałem się we krwi. Czoło piekło mnie jak od uderzenia kijem. Rozpoznawszy, w jakim jestem stanie, rozdarłem koszulę by zrobić bandaż i zatamować krew. Mój koń gryzł trawę w pobliżu. Nie będąc w stanie go dosiąść, wziąłem cugle do ręki i wlokłem się zły, iż nie zdołałem w porę uprzedzić strzału.

Widząc, co się stało, moi towarzysze pośpieszyli do mnie. Uspokoiłem ich, wiedząc z doświadczenia na wojnie, że rany w głowie goją się prędko, jeżeli tylko nie są śmiertelne. Dowiedziałem się wówczas, iż jeden ze złodziei. broniąc się poległ w walce. Jego zwłoki leżały nieopodal. Trzeci łotr, który się poddał, przywiązany sznurami do drzewa oczekiwał swojego losu.

Usadowiwszy mnie na siodle, mały oddział puścił się w drogę z więźniem i odebranemi końmi. Przybywszy na umówione miejsce spotkania do opuszczonej fermy, gdzie oczekiwały nas inne oddziały, postanowiono odbyć sąd nad przestępcą.

Na prezydującego wybrano starca bogobojnego i wieloe sumiennego we wszystkich czynnościach. Kazał on dwunastu ludziom wsiąść na koń, ustawić ich przed otwartem oknem w taki sposób, żeby mogli dawać baczenie na fermę, a jednocześnie brać udział w naradach. W środku izby stał stół, na którym umieszczono zapaloną latarnię, gdyż zbliżała się noc.

Prezydent zasiadł i wyjął małą biblję z kieszeni i położył ją przed sobą.

— Panowie — rzekł — będziemy sądzić jednego z podobnych sobie. Niech Bóg nas uchowa od stronności.

— Amen, odrzekli obecni.

Oskarżony, wprowadzony niezwłocznie, odmówił wszelkiej odpowiedzi na pytania, dotyczące tożsamości osoby, a nawet zachował się dość arogancko.

— Jestem — utrzymywał — obywatelem amerykańskim i nikt nie może pozbawiać mnie dobrodziejstwa praw.

— Sam pozbawiłeś się tego dobrodziejstwa odparł prezydujący. Wypowiedziawszy walkę społeczeństwu, zszedłeś do rzędu tych zwierząt niebezpiecznych, które zabija się bez wahania. Ale my szanujemy sprąwiedliwość i będziemy szczęśliwi, jeżeli zdołasz oczyścić się ze zbrodni jakie ci zarzucają. Najpierw jesteś oskarżony, że ostatniej nocy brałeś udział w kradzieży kilku koni.

— Nie zapieram się brzmiała odpowiedź.

— Ale to jeszcze nie usprawiedliwia waszego postępowania wobec mnie.

Nie odpowiadając na tę uwagę, prezydujący ciągnął dalej:

— Jesteś teraz oskarżony o liczne morderstwa, między innemi o zabójstwo oberżysty który schwycił cię na oszustwie w grze. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

— Nie uczyniłem tego.

— A jednak oberżysta przed śmiercią zeznał, że winny morderca ma amputowany jeden palec u ręki. Pokaż ręce!

Ten nieoczekiwany zwrot zmięszał oskarżonego, Zalał się łzami i zaczął nas błagać o litość.

Prezydujący rozkazał wyprowadzić oskarżonego, z sali następnie otworzył biblję, leżącą na stole, i odczytał pierwszą księgę Mojżesza, do której zawsze miał wyjątkowe upodobanie. Po ukończeniu czytania rzekł:

— Panowie, czyńcie waszą powinność. Powiedzcie, czy oskarżony jest winien?

Odpowiedź brzmiała jednomyślnie twierdząco.

Gdy przystąpieno do egzekucji, przestępca znów próbował rozrzewnić sędziów. Przerwano tę przykrą scenę wieszając go na najbliższem drzewie.

Po chwili księżyc oświecił zwłoki.

W czasie ostatniej podróży w wisielcu, widzianym na drzewie, poznałem owego jegomościa, który gwizdał arje z oper i później ranił mnie z rewolweru.

Sąd róży

Przed rzeszą kwiatów goździk,
Zazdrośny mąż stokrótki,
W rozgoryczeniu wielkiem
Wynurza swoje smutki:

„Słuchajcie! — tu na klombie,
Nie pomnę wiele latek,
Kwitnąłem z mą stokrótką,
A przy nas — także bratek.

„I tak mi było dobrze,
Tak błogo z moją miłą.
Że dziś usycham, myśląc,
Co wczoraj się zdarzyło...

„Ach, wczoraj.. gdy ogrodnik.
Gniótł ziemię noża trzonkiem,
Ujrzałem, że się bratek
Zrósł z żoną mą korzonkiem!...

„I czule tam ją ściskał
Zbrodniarz ramiony swemi,
Gdzie biusc k jej wystrzela
Rozkosznie z pulchnej ziemi!

„O, zdrada to okropna
Tak pieścić się ukradkiem,
Tuż właśnie przy mym boku
Pod ziemią z płochym bratkiem!

„Rozwodu, moi mili,
Koniecznie chcę rozwodu!...
Oh, niechaj mnie przesadzą
W najdalszy kąt ogrodu!"

Tu zamilkł biedny goździk,
I ciche szle westchnienia,
A lilją i konwalje
Aż zbladły z oburzenia.

Stokrótka jasną główkę
Za płochym bratkiem chowa,
Bo bardzo ją zawstydza
Ta sprawa romansowa.

Piwonja z pulchnem pysiem
Rumieńcem gniewu płonie,
O moralności prawiąc,
Z narcyzem w rezed gronie.

I wnet na całym klombie
Barwistych kwiatów rzesza,
Drżąc z grozy i zgorszenia
Do sporu głos swój miesza.

Sam jeden śmiał się tylko
Różyczki pączek biały,
Aż całkiem się rozwinął,
I listki zeń zleciały.

Od wieków bowiem wiedział
Kwiat róży — kwiat miłości,
Że miłość tam wybucha,
Gdzie nie brak sposobności.

T. Pepłowski.

Z medycyny XVIII wieku.

Mamy przed sobą książkę, której tytuł zajmuje całą stronicę, a brzmi tak:

„Compendium medicum auctum to jest: krótkie zebranie y opisanie chorób, ich różności,

przyczyn, znaków, sposobów do leczenia. Także rożnych sposobów robienia Wodek, Oleyków, Iulepów, Syrupow, Konfitor. Maści, Plastrów, &c. y rożnych osobliwych rzeczy, na siedm traktow rozdzielone. Y teraz przez tegoż Autora z errorów typograficznych wyczyszczone. Z przydatkiem osobliwych Chorob, tak Męskich, iako y Białogłowskich, y Dźiecinnych. Dla większej wygody ludzkiey przedrukowane. Roku Pańskiego 1767. W Drukarni Iasney Gory Częstochowskiey“.

Jako osobliwość przytoczymy z książki ustęp dotyczący „komplexyi y temperamentów ludzkich“.

O komplexyach i temperamentach ludzkich.

Znaki które z phisiognomii początków, y reguł o ludzkich kompleksjach, naturach sposobnościach, y skłonnościach dochodzą się osobliwie, gdy wraz wiele się ich schodzi, maią wprawdzie nieiaką pewność: lubo się pod ozas mienią, z nich tu osobliwie kładą się:

Znaki komplexyi krwistey.

Nayprzod są statury pomierney, silni, ciała maią na sobie dość, iednak są otyli, twarz okrągła, y rumiana, włos żołtawy, miękki, y kędźierzowaty, głos stateczny, chybkość, puls silny. Tacy są nieprzyjaciele smutnych mow, kochają społeczność, y rekreacyą, nie zwadliwi, łaskawi, przyiemni w rozmowach, ludzcy, hoyni, pobożni, sprawiedliwi, niekrzywdzący chyba gwałtem przymuszeni do gniewu skwapliwi, iednak się prędko uspokoją, trudnych się spraw nie podejmują, są dowcipu bystrego, y do wszelkich nauk sposobni. nie łakomi, y owszem swego łatwo ustępujący, inszym snadno wierzą, o nikim źle nie trzymaią.

Śni im się że po powietrzu lataią, że bańkietuią, konwersuią, że się po ogrodach, y pałacach przechodzą &c.

Znaki komplexyi choleryczney.

Tacy są statury pomierney, szczupli, włos kędźierzawy, y opaczny, w brodzie włos gęsty i żółtawy, głos wysoki i rozlegający się, twarz żołtawa czasem rumiana, odde h mocny, apetyt dobry, wymowa dobra, chod prędki, głowa szczupła, puls mocny, y prędki rzadko się pocą. Są bardzo gniewliwi, iednak gniew nie długo w nich trwa, chełpliwi, nadęci, sprzeczający się, obmowek, niezgody rozsiewający, ciekawi, przyjaźni nie długo dotrzymują, śni się im o kolorach żółtych, zielonych, o swarach, o bitwach, o ogniach &c.

Znaki komplexyi flegmatyczney.

Tacy nie są wzrostu bardzo wielkiego, jednak ogromni, a pod czas otyli, ciała na sobie mają miękkie, y białe, włos rzadki, y mięki prędko siwieią, twarz skromna, żyły wydane, głos subtelny i ostry, dowcipu są tępego, boiaźliwi, przyjaźni sekretu nie dotrzymują, Jeżeli krew nieco w nich przewyższa, są bardzo ludzcy y mili, do wesołości skłonni, szczerzy, y wierni do rządów sposobni, prawami, ani poswarkami, nie radzi się bawią, wiele pluią, radźi leżą, i popiiaią.

Sni się im o wodach, o kompieli, o rzekach i jakoby tonęli, że ciężary dźwigaią, że ich coś dusi, zkąd przez sen wołaią, że uciekają, a nie mogą.

Natura krwistego.

Szczodry, wesoły, na twarzy czerwony,
Tchórz, cielisty, stateczny, w niewstyd zapra-
[wiony

Natura cholerycznego.

Darny, śmiały, zarosły, szczupły y fałszywy,
Na żółty poszedł kolor, suchy y gniewliwy.

Natura flegmatycznego.

Spioch, leniwiec, otyły, a rad często plnje.
Niepamiętny, twarz białej cery pokazuje.

Z „nowej wiosny.“

(*H. Heine*).

I.

U białego drzewa siedząc,
Poświst wichru słyszysz zdala,
Widzisz, jak się w mgły otula
Chmur złowrogich niema fala.

Widzisz, jak świat cały zamarł,
Nagi las i niw kobierce;
W okół zimno — w tobie zima –
Bryłą lodu twoje serce.

Nagle, rój płateczków białych
Spada na cię. Przygnębiony
Myślisz w duszy, że cię drzewo
W płaszcz przybiera uśnieżony.

Jednak próżna twa obawa,
Nie zimowa to śnieżyca,
Ale wiosny wonne kwiecie
Drażni ciebie i zachwyca.

O, jak słodko czar upaja,
Zima — porą już majową;
Zamiast śniegu — cudne kwiaty —
Serce kocha, ach na nowo ..

IV.

Kocham kwiat jeden, lecz nie wiem który
Wśród łąk kobierca,
W kielichy kwiatów patrzę ponury
I szukam serca.

Wonieją kwiaty, skrzą się gwiazd roje,
Słowiczek nuci.
Ja szukam serca, co smutki moje
I ból ukróci.

Ach, ja rozumiem, co słowik spiewa
O cudnej wiośnie;
Nad naszą dolą on ubolewa
Tęskno, żałośnie.

MLA.
